

OSTATNIA CHOWA KLUCZ

AŁBENA GRABOWSKA

**OSTATNIA
CHOWA KLUCZ**

zwierciadło

© Copyright by Wydawnictwo Zwierciadło Sp. z o.o.,

Warszawa 2021

Text © copyright by Albena Grabowska 2017

Wydanie II

Redakcja: Karolina Macios

Korekta: Małgorzata Sucharska, Zbigniew Gosławski

Projekt okładki: Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN®

Skład i łamanie: Maria Kowalewska, Piotr Szczerski

Dyrektor produkcji: Robert Jeżewski

ISBN: 978-83-8132-189-1

Druk: BZGraf S.A.

Wydawnictwo Zwierciadło
ul. Widok 8, 00-023 Warszawa
tel. 22 312 37 12

Dział handlowy:
handlowy@grupazwierciadlo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

ROZDZIAŁ I

Los rzucił mi wyzwanie. Gdzieś w zakamarkach mojej podświadomości latami rodziło się pragnienie, żeby zrobić to znowu. Bo czyż pragnienia, zwłaszcza te złe, nie dojrzewają w nas niczym rzadkie rośliny, wypuszczające kwiaty raz na wiele lat? Cóż z tego, że to kwiaty zła? Próbowałem zdusić je w sobie albo zagłuszyć innym, podobnie silnym uczuciem, ale ono dawało o sobie znać co dzień, coraz silniejsze i wyraźniejsze. Z jednej strony przerażało mnie to, z drugiej wprawiało w ekstazę. Na pozór zwyczajny, skryty pod maską nieszkodliwego dziwaka, osłonięty przed światem, knułem podstępny plan, który już niedługo miał się ziścić. Czyżby demon zrodził się, kiedy mój rozum spał? Nic bardziej mylnego, mój demon korzystał z rozumu i nim się karmił. Dzięki temu tak dobrze wszystko zaplanowałem. Dzięki temu osiągnę wreszcie to, czego pragnę najbardziej na świecie. A wy będziecie na to patrzeć. I nic, ale to nic na to nie poradzicie...

Jeśli idziesz prostą drogą, możesz trafić do własnego piekła. Jeszcze w przedszkolu zaczęłam zapamiętywać różne mądre zdania, nawet jeśli niewiele z nich rozumiałam. Mogłam je wykorzystać w czasie rodzinnych uroczystości, podczas których od najmłodszych lat ciężko pracowałam na miano nadziei rodziny Popielewiczów. Mogłam też zakopać je głęboko w umyśle i z czasem dostrzec iskrzącą się w nich mądrość. Jeśli oczywiście tam była. Wtedy jednak przynajmniej mogłam nauczyć się to rozpoznawać.

Światło żarówki na korytarzu zamigotało. Zgaśnie, nie zgaśnie? Ogarnął mnie niepokój. Zawsze bałam się ciemności, nawet jeśli ktoś mi towarzyszył w domu. Błąd – kiedy zapadała ciemność, byłam najbardziej samotną dziewczynką na świecie, choćby koło mnie stali rodzice, koleżanki czy przypadkowi ludzie. Ojciec kupił mi małą lampkę, która świeciła przez całą noc, nawet gdy pogrążałam się w głębokim śnie. Z powodu tej dziwnej przypadłości nie jeździłam na szkolne wycieczki. Tam gaszono światło, a ja wpadałam w histerię, czego nie potrafili zrozumieć ani moi nauczyciele, ani tym bardziej koledzy.

Żarówka migotała jeszcze chwilę, dając złudną nadzieję, że przełamie impas i zabłyśnie, ale zamiast tego wydała z siebie dziwny dźwięk, jakby rzężenie, i zgasła. Natychmiast oblała mnie fala paniki.

– O rany... – usłyszałam głos Justyny i szelest, z jakim czyjś rękaw otarł się o kieszeń bluzy. – Nic nie widać.

Oddychałam głęboko, robiło mi się niedobrze. Obym tylko nie zwymiotowała pod własne nogi albo, co gorsza, na którąś z dziewczyn. Nagle zabłysło światło latarki, a ja odetchnęłam z ulgą. Naprawdę nie potrzebowałam wiele. Wystarczyło światło ulicznej latarni, ciepłe migotanie w głębi korytarza, nawet księżyc, jeśli jasno świecił. Przerazały mnie jedynie całkowite ciemności.

– Marzena ledwie dycha ze strachu – zachichotała Kaśka. Zobaczyłam w wyobraźni, jak wskazuje na moje wilgotne czoło brudnym od długopisu palcem. Paznokcie miała zawsze obgryzione do krwi, teraz zapewne jej palec wskazujący był wycelowany w moje szesnastoletnie, trzęsące się ze strachu jestestwo.

Dziewczyny nie wiedziały o mojej przypadłości, bo się nią nie chwaliłam. Może zresztą czegoś się domyślały, po tym jak w zeszłym roku nie pojechałam na wycieczkę klasową do Krakowa, ale raczej nie potrafiłyby wyobrazić sobie tego paraliżującego lęku, macek strachu ściskających pierś i wnিকających do mózgu. Justyna machała nonszalancko latarką, światło zakreślało kręgi po ścianach klatki schodowej, a ja modliłam się, by bateria się nie wyczerpała. Rozejrzałam się wokoło. Panika sprawiła, że zapomniałam, gdzie się znalazłam.

– Na szczęście ciocia Justynka myśli za was wszystkie – mruknęła i dała znak ręką, a my znów zaczęłyśmy wspinaczkę na strych.

– Może dziś sobie odpuścimy? – zaryzykowałam pytanie. Za wszelką cenę chciałam znaleźć się na powietrzu, pośród blasku ulicznych latarni.

– Bo żarówka zgasła? – mruknęła ze zdumieniem. – Na strychu jest światło, nie bój się.

Justyna Krygier, najlepsza uczennica w klasie, była naszą przywódczynią. To ona wymyśliła tajne stowarzyszenie, ukradkowe spotkania i dyskusje o otaczającej nas rzeczywistości. Strych należał kiedyś do jej siostry. Razem z mężem i dzieckiem przez dwa lata zajmowała niewielki pokój z kuchnią i toaletą, wydarty spółdzielni mieszkaniowej i wyremontowany własnym sumptem. Wyprowadzili się, kiedy szwagier Justyny złapał wiatr w żagle i zajął się handlem bluzkami tureckimi z metalowej szczeni rozpiętej przy stacji kolejki podmiejskiej. Rodzice Justyny mieli kancelarię prawną i choć mieszkali w bloku, wstydzili się takiego zięcia oraz córki, która tuż

po maturze urodziła dziecko, a potem wzięła pospieszny ślub w bluzce ze studniówki i plisowanej spódnicy z butiku. Kiedy jednak po roku młoda rodzina nabyła bliźniak w willowej dzielnicy, wszyscy na powrót zaczęli pytać starych Krygierów: „Co tam słyhać u Małgosi?”, a oni jednym głosem odpowiadali: „Wszystko bardzo dobrze, wnuczek śliczny i mądry, a Małgosia opływa w dostatki”. Mój ojciec skomentował wtedy ironicznie, że tym sposobem handel tureckimi ubraniami okazał się jednak nobilitujący. Strych, do którego właśnie zmierzałyśmy, pozostał pusty, gdyż spółdzielnia mieszkaniowa, nauczona doświadczeniem darmowego goszczenia półdzikich lokatorów, nikomu nie udostępniła „mieszkania”. Na szczęście dla nas, bo teraz właśnie stałyśmy przed odrapanymi drzwiami naszej kryjówki. Justyna sięgnęła po klucz sprytnie ukryty za cegłą i otworzyła drzwi.

Uwierzcie mi, nie chciałam tam być. Przynajmniej nie dziś. Miałam jeszcze do napisania wypracowanie na temat cech romantycznych Gustawa-Konrada i potrzebowałam co najmniej trzech godzin, by zrobić to naprawdę dobrze. Zależało mi na ocenie z polskiego. Okłamałam rodzinę, że idę na zbiórkę harcerską, chociaż z harcerstwa wypisałam się zaraz po pierwszym spotkaniu. Nie złożyłam nawet przyrzeczenia. Mama była harcerką i uważała tę organizację i wszelkie idiotyzmy w stylu zbiórek, obozów, gdzie sypia się na gołej ziemi, i darmowych prac na rzecz innych za szczyt marzeń zakompleksionej szesnastolatki. Do dziś nie wiem, czemu w ogóle zgodziłam się pójść na pierwszą zbiórkę.

– No dobra, siadamy – zakomenderowała Justyna, po czym zajęła miejsce na pufie i oparła się o ścianę.

Strych był prawie pusty. Po meblach zostały jedynie zarysowania na gumoleum, tylko wściekle różowa pufa świadczyła o tym, że kiedyś znajdowało się tu coś więcej niż suszarnia bielizny. Ja, Kaśka i Julia usiadłyśmy naprzeciwko na zakurzonym

kocu. Miałam na sobie krótką spódnicę do połowy uda. Bardzo dobrze w niej wyglądałam, dlatego nosiłam ją prawie co dzień. Uszyłam ją z wykroju, a materiał dała mi jeszcze babcia. Do tego włożyłam sweter o skomplikowanym wzorze, który dziergałam przez całą zeszłą zimę z nadzieją, że komuś wreszcie się spodoba. Chciałam, by Paweł Bałak, najfajniejszy chłopak w klasie, chociaż raz na dłużej zawiesił na mnie wzrok. Niestety, nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi, wodził oczami za Kaśką, czasem za Justyną. Dzięki swetrowi jednak podeszła do mnie na przerwie Justyna i spytała, czy chcę iść po szkole na pizzę. Bardzo chciałam. Towarzystwo Justyny było bezcenne. Najlepsza w klasie, prawie tak ładna jak Kaśka, a jej bardzo bogaci rodzice pozwalali na urządzenie imprez w domu i wychodzili sobie w tym czasie do kina, zamiast tkwić w sąsiednim pokoju i nasłuchiwać. Nie poszliśmy wtedy na pizzę, tylko na strych, gdzie zostałam wtajemniczona i wprowadzona do paczki, w której oprócz mnie była jeszcze Kaśka – najładniejsza dziewczyna w klasie i najlepsza przyjaciółka Justyny, mimo tych nieszczęsnych paznokci. Teraz miała dołączyć do nas także Julia. Justyna tak zarządziła.

– Czemu ona? – spytałam, kiedy kilka dni temu oznajmiła mi to na dużej przerwie w stołówce, odsuwając z obrzydzeniem zupełną pomidorową i rezygnując demonstracyjnie z drugiego dania.

– Bo tak – powiedziała z prostotą.

– A co ci się nie podoba? – spytała przekornie Kaśka.

Wzruszyłam ramionami. Julia była nikiem. Nie błyszczała na lekcjach, no może z wyjątkiem WF-u, bo w podstawówce grała w koszykówkę w najlepszej drużynie w całym mieście. Z polskiego, biologii i historii miała trójki, z angielskiego zaliczała sprawdziany, ale mówiła źle, z dziwnym akcentem, wzbudzając śmiech politowania naszej Miss Saigon. Z matmy ledwie wyciągała trójkę, siedziała na lekcji niczym trusia, czym wzbudzała agresję Liczbaka, sadysty z natury, przyjmującego

wszelką słabość z błyskiem okrucieństwa w błękitnych oczach. Takie jak Julia prowokowały go i z mrocznych zakamarków jego wypełnionej liczbami duszy wyciągały coś więcej, niż jedynie chęć pogwałcenia słabej uczennicy. Liczbak znęcał się nad Julią jak kot nad myszą. Uderzał łapą, ale nie zabijał. Stawiał jej jedynekę z klasówki, a potem przyjmował na zajęcia wyrównawcze i doprowadzał do tego, że łąpała ze dwie dwójki albo nawet trójki z minusem, a kiedy pełna nadziei zasiadała na lekcji, brał do odpowiedzi i zgniatał na miazgę. Julia z trudem to znosiła. Roztrzęsiona pochlipywała potem na przerwie, wraz ze łzami przelatykając epitety Liczbaka w stylu „głupia” czy „tuman”. Nikt jej nie pocieszał ani nie okazywał wsparcia. Co więcej, nikt go nie potępiał, chociaż w dwutysięcznym roku takie praktyki i słowa „uwłaczające godności młodzieży” nie wróżyły nauczycielowi nic dobrego. Julia mogła liczyć jedynie na grzecznościowe gadki na przerwie z niektórymi, nie za bardzo popularnymi dziewczynami. Po jednej ze szczególnie obrzydliwych akcji Liczbaka chciałam nawet do niej podejść, ale wtedy zobaczyłam, jak Paweł szepcze jej do ucha, ściskając jej ramię, a ona spoglądała na niego z wdzięcznością i uśmiechnęła się. Zatrzymałam się w pół kroku oburzona na siebie, że w głowie zaświtał mi podobny pomysł. Już nigdy nie próbowałam okazać jej współczucia i nigdy też nie widziałam, by Justyna czy Kaśka zamieniły z nią chociaż słowo.

– Po prostu nie wiedziałam, że się z nią kumplujecie – powiedziała wtedy Justynie, a ona się roześmiała, nie wyjaśniając mi niczego.

– Przyjmujemy ją do paczki i tyle. Jeśli nie chcesz, możesz nie przychodzić.

Mogłam zostać w domu i pisać to wypracowanie. To by wszystko zmieniło. Zawsze, gdy dzieje się coś złego, co narasta w powietrzu i podchodzi do gardła, człowiek chce się przed tym obronić, nawet jeśli nie umie tego nazwać, ale to i tak spada mu

potem na głowę. Czułam, że coś jest nie tak. Mówił mi to błysk w oczach Justyny i chichot Kaśki w szkole, nawet to światło, które wtedy zgasło na korytarzu. Mówił mi to kurz na kocu i niechęć przed pobrudzeniem mojej najlepszej spódnicy. Idź stąd, Marzena, mówiło mi to coś, pewnie instynkt samozachowawczy, ale nie posłuchałam.

Ja naprawdę uważam, że los gra z nami *fair*, ostrzega, zagraża drogę, a my z uporem maniaka ignorujemy te sygnały, przeskakujemy nad przeszkodami, wyważamy zamknięte drzwi, rozbijając sobie głowę, a potem mamy pretensje, że nikt nie wysłał nam ostrzeżenia.

Siedziałam zatem zrezygnowana na zakurzonym kocu i patrzyłam na Justynę, która niczym mistrz ceremonii wstała, wyjęła z torebki świecę i zapaliła ją. My zawsze upychałyśmy pieniądze czy legitymację szkolną po kieszeniach, podczas gdy ona trzymała w konduktorze portfel, chusteczki higieniczne, legitymację, zapasowe gumki do włosów, spinki, wsuwki, a także – jak dziś się okazało – latarkę i świeczkę inicjacyjną. Słowem: była damą wśród nieopierzonych gówniar, a przynajmniej za taką starała się uchodzić.

– Chcesz być w naszej paczce? – spytała przyjaznym tonem.

– Przecież przyszłam – Julia uśmiechnęła się nerwowo.

– A ta wasza paczka co robi? Nie mówiłyście wcześniej...

Może zaniepokoiły ją nasze miny: uroczysta Justyny, moja niepewna i skrzywiona, ładna buzia Kaśki. Może, kiedy zobaczyła torebkę i tę nieszczęsną świeczkę, zamigotało w niej przekonanie, że ten wieczór nie będzie taki jak inne. Może nawet podobnie jak ja czuła, że już nic nie będzie takie samo.

– Nic nie robi – odpowiedziała jej Justyna. – Pomagamy sobie we wszystkim, jak ktoś nie ma kasy, to się zrzucamy, no wiesz... trzymamy się razem. Gadamy o różnych sprawach.

Pierwsze słyszę, by ktoś komuś pożyczał tu pieniądze. W zeszłym roku nie miałam kasy na prezenty pod choinkę

dla rodziny. Mówiłam to dziewczynom, ale nie okazały nawet współczucia, nie mówiąc już o pożyczeniu pieniędzy. Wyraziły jedynie zdumienie, że kupuję prezenty na gwiazdkę. One tylko dostawały upominki, same ich nie dawały.

– Pożyczamy sobie ciuchy – dodała Kaśka. – To właściwie takie najważniejsze, co robimy.

Też pierwsze słyszę. Moi rodzice nie byli najzamożniejsi, nie chodziłam w bluzkach i zwiewnych, modnych kieckach z butiku. Czasem udało się wypatrzeć coś w lumpeksie albo w India Shopie. Najczęściej sama szyłam sobie rzeczy, pożyczałam koszule od ojca, albo przerabiałam je na bluzki i kamizelki. Nawet jeśli mi się podobały, to i tak nikt nie mówił, że wyglądam fajnie. Justyna i Kaśka nigdy mnie nie poprosiły o pożyczenie czegoś. Nic dziwnego, skoro na szkolne dyskoteki przychodziły zawsze odstrzelone w ciuchy z najfajniejszych sklepów albo przywiezione przez ciotki czy kuzynki z zagranicy.

– Ja nie mam żadnych fajnych ciuchów – zmartwiła się Julia.

Rzeczywiście, nie miała. Chodziła na okrągło w ciemnych, wąskich spodniach, podkreślających szczupłe, bardzo zgrabne nogi, których jej zazdrościłam, i takich sobie swetrach – ani ładnych, ani brzydkich, ani drogich. Pod szyję wkładała chusteczki ze sklepów indyjskich. Kupowała ich dużo, od bardzo kolorowych aż po stonowane i wkładała je w zależności od okazji, na przykład podczas uroczystości szkolnych nosiła biało-granatową. Dziś wyjątkowo nie miała nic pod szyją. Dziwne, wydawało mi się, że ona nic dla mnie nie znaczy, ledwie dostrzegam jej istnienie, a tak wnikliwie ją obserwowałam.

– Masz fajne apaszki – powiedziałam i pożałowałam tego, bo wyszło, jakbym chciała jedną od niej pożyczyć, a nie powiedzieć coś miłego.

– No, ale dziś nie włożyłam. – Popatrzyła na mnie z wdzięcznością, ale zaraz potem na jej twarzy pojawiło się rozczarowanie. – Chyba pierwszy raz w życiu.

– Trudno. – Justyna wzięła się pod boki. – Następnym razem wymienimy się jakimiś ciuchami, żeby podkreślić nasze braterstwo.

Co za bzdury, braterstwo, siostrzeństwo, pieprzenie o niczym, pomyślałam. Kaśka podeszła do Julii i dała jej bransoletkę z rzemyków, którą zdjęła z ręki.

– Weź – powiedziała. – Pasuje ci do tych spodni. – A gdy ta się zawahała, podsunęła jej bransoletkę prawie pod sam nos. – Weź – powtórzyła. – Nie musisz mi nic dawać. Ani teraz, ani w ogóle.

Julia wzięła bransoletkę z wahaniem. Justyna spojrzała na Kaśkę, jakby ta zrobiła coś, czego z nią nie ustalała, ale zaraz wyjęła z torebki ładną, jedwabną chusteczkę.

– Proszę.

Julia niepewnie wzięła chusteczkę, patrzyła chwilę z podziwem, zachwycając się delikatnym materiałem, i schowała do kieszeni. Potem okręciła rzemyk wokół prawego przegubu. Wszystkie oczy skierowały się teraz na mnie. Spodziewałam się tego i nie wiedziałam, jak wybrnąć z tej sytuacji. Nie miałam ani bransoletki, ani jedwabnych chusteczek do nosa. Włosy wiązałam kolorową gumką, ale to była zwyczajna, czerwona gumka ze sklepu, w dodatku znoszona. Nie wypadało jej dawać nikomu. Nie mówiąc już o tym, że wtedy wszyscy zobaczyliby moje rozpuszczone włosy, które powinnam wczoraj umyć. Myłam je co dwa dni, pierwszego nosiłam rozpuszczone, następnego upinałam w wysoki kucyk. Właśnie, dziś wieczorem muszę nie tylko napisać wypracowanie, ale jeszcze umyć i wysuszyć włosy. Bliska paniki, przypomniałam sobie nagle o cienkim, różowym paseczku, kupionym w pasmanteerii. Nie miał dziurek, źle się trzymał i trzeba go było w kółko poprawiać, ale nic innego nie nadawało się na prezent. Zdjęłam go szybko i podałam Julii.

– Nie... – powiedziała. – Taki ładny... Nie mogę go wziąć.

– Weź – powtórzyłam stanowczo. Co ona sobie myślała? Wzięła chusteczkę i bransoletkę, a paska nie chciała?

Na mojej twarzy musiała się odbić przykrość, bo dziewczyna podwinęła sweter i włożyła pasek w szlufki spodni, uśmiechając się przy tym do mnie. Wyglądało to całkiem fajnie.

– Ja naprawdę nic przy sobie nie mam, chustkę na szyję mogę wam dać jutro – zapewniała z niepewną miną.

– Nie musisz, naprawdę – przerwałam jej. Przyszło mi do głowy, że te chustki to jej jedyna cenna rzecz i może nie chce ich rozdawać.

– Najfajniejsze to są majtki – zachichotała nagle rozluźniona. – Ciocia mi przywiozła z Niemiec. – Rozpięła szybko suwak od spodni i zsunęła je trochę. Majtki kończyły się nisko pod brzuchem, były intensywnie różowe z czarnym napisem *Monday*. Faktycznie, dziś był poniedziałek.

– Super – westchnęła z podziwem Kaśka.

– Dostałam siedem par, każda jest innego koloru na inny dzień tygodnia – kontynuowała ożywiona.

– Dawaj – powiedziała Justyna, a ja spojrzałam na nią ze zdumieniem.

Nie wierzę, będzie nosiła czyjeś majtki, nawet bardzo fajne? Serio? Przecież Julia ich nie ściągnie. Co innego bransoletka, chustka czy pasek, co innego bielizna. Jednak ona nawet się nie zawahała. Jakby to było coś zupełnie zwyczajnego, ściągnęła szybko spodnie, a potem majtki. Przez sekundę, zanim zasłoniła się swetrem, zobaczyłam jej włosy łonowe, krótkie, jasne, spoczywały na skórze jeden obok drugiego w eleganckim porządku. Coś mi się przewróciło w brzuchu i zawstydziłam się tego nagłego podniecenia. Moje włosy przypominały raczej potarganą wiatrem kępę na wydmie, nienawidziłam ich i ukradkiem ścinałam nożyczkami, więc odrastały jeszcze bardziej twarde i brzydkie.

Z gołymi nogami, zupełnie odkryta, wydała mi się jeszcze ładniejsza. Podała majtki Justynie, słusznie rozumując,

że to ona tu rządzi i ona właśnie zabierze do domu trofeum. Ta przechwyciła różowe cudo, zwinęła i włożyła do torebki. Minę miała nieodgadnioną. Tymczasem Julia zdążyła włożyć spodnie na goły tyłek.

– Trochę dziwnie – zachichotała.

– Coś ci się, Marzenko, nie podoba? – w tonie Justyny zabrzmiała groźba.

Musiałam kiepsko maskować moją reakcję na widok obnażonej Julii.

– Pewnie sama chciała te majtki – zaśmiała się Kaśka.

Przełknęłam ślinę. Wszystko było takie dziwne, chociaż obiektywnie nic takiego się nie stało. Każda z nas dała coś od siebie, nic takiego. Nic, co by mogło prowadzić do katastrofy, którą odczuwałam każdą komórką swojego ciała.

– Jutro mogę przynieść. – Julia z zadowoleniem głaskała bransoletkę z rzemyków.

– Nie trzeba – odpowiedziałam jej, ignorując zupełnie Justynę.

Nie mogłabym wytłumaczyć mamie, skąd mam taką bieliznę. Mama Justyny, elegancka pani mecenas, wyglądała mi na kogoś, kto przegląda garderobę swoich dzieci, zwłaszcza intymną. Może Justyna nie zamierza nosić tych majtek, tylko je sobie schowa i będzie oglądać od czasu do czasu? W sumie dość obrzydliwe.

– Pytałam, czy coś ci się nie podoba – powtórzyła, wpatrując się we mnie, a ja wzruszyłam ramionami.

– Skoro chciała wam TO oddać, to ja... mnie tam wszystko jedno – rzuciłam w przestrzeń. – Możemy już zacząć?

– Co zacząć? – zdumiała się Kaśka.

Miałam na myśli rozpoczęcie rozmowy, tego obgadywania, opowiadania, jak to Renata czy Grażyna beznadziejnie się ubierają, jakie noszą wsiowe szaliki, swetry, bluzki i czapki, o butach nie wspomnę. Z butami w ogóle jest najgorzej. O ile

tamte rzeczy można wydziergać, uszyć, przerobić, wykombinować, o tyle z butami nic nie da się zrobić. Po butach widać, kto pochodzi ze zwyczajnej, niezaradnej rodziny, w której nikt nie jeździ do Berlina po czółenka czy fajne botki. Takiej jak moja i najwyraźniej też Julii. Na nogach miała zwykle adidasy, choć spadł już pierwszy śnieg. Zdawała sobie sprawę z tego, że buty ją demaskują, więc włożyła do nich kolorowe sznurówki, by w ten prosty sposób ożywić swój nijaki strój i podkreślić osobowość.

– Nie zaczniemy, bo nie skończyliśmy ceremonii inicjacji.
– Justyna wbiła we mnie ciężkie spojrzenie.

Chwila, kiedy Julia była górą po oddaniu własnych majtek, minęła. Znow spoglądała na nas niepewnie, bawiąc się bransoletką. My z Kaśką także wymieniliśmy spojrzenia. Minęła już godzina, robiło się późno. Powinnyśmy pogadać krótko, a potem iść do domu, do wypracowania.

– Podejdz tu, moja droga – powiedziała Justyna uroczyście, a kiedy ta wstała i podeszła do niej, uśmiechając się nerwowo, wskazała jej pufę: – Siadaj.

Dziewczyna odrzuciła do tyłu rozpuszczone blond włosy i usiadła. Jej ładna twarz zaśniła w blasku świecy.

– Przyjmujemy cię dziś do naszej organizacji – zaczęła mistrzyni ceremonii. – Będiesz jedną z nas. Chcesz tego czy nie?

Julia przełknęła ślinę i po chwili wahania odparła:

– Chcę.

Przez myśl przemknęło mi, że Kaśka wcale nie jest najładniejsza w klasie, na pewno nie ładniejsza od Julii ani nawet ode mnie. Nagle poczułam się bardziej pewna siebie i zaczęłam się przyglądać wszystkim trzem dziewczynom. Julia miała regularne rysy twarzy, pięknie wykrojone wargi i duże brązowe oczy, co przy blond włosach dawało bardzo ciekawy efekt. Kaśka wyglądała przy niej pospolicie, a gdyby z Justyny zdjąć dobre ciuchy i zmyć makijaż, byłaby zupełnie nijaka. Uśmiechnęłam się do tej myśli.

– Powtarzaj – zarządziła Justyna. – Będę zawsze lojalna wobec swoich sióstr.

Julia powtórzyła nieco pewniejszym głosem. Zastanawiałam się, o co może chodzić. Kiedy ja po raz pierwszy trafiłam na strych, nie poddały mnie żadnej ceremonii. Szczerze mówiąc, było dość nudno. Dziewczyny obgadywały wtedy wszystkie koleżanki z klasy pod kątem wyglądu, pieniędzy, sposobu ubierania się i wysławiania. Potem stwierdziły, że przepiszą ode mnie polski, bo nie robiły notatek na lekcji, a przepisując, wspomniały o Pawle i dziewczynach, którym on się podoba, komentując, dlaczego żadna nie ma u niego szans. Doskonale wiedziałam, że zanim zostałam zaproszona na strych, rozmawiały w ten sposób i o mnie.

– Nigdy nie zdradzę tajemnic sióstr, od dziś moich najlepszych przyjaciółek.

Julia ponownie powtórzyła słowa Justyny. Uśmiechnęła się nawet. Wyraźnie uznała, że nic jej nie grozi.

– Będę strzegła wszelkich tajemnic, nawet gdyby mnie bili, przypalali ogniem i wyrwali włosy. – Chociaż prowadząca ceremonię miała groźną minę, Julia uśmiechała się. Ja też rozluźniłam mięśnie. Przecież to była zabawa. – A teraz zostaniesz poddana próbie. Wyciągnij rękę.

Jak oniemiała patrzyłam na wyciągnięte ramię dziewczyny i zbliżającą się do jej białej skóry świecę.

– Co ty robisz?! – krzyknęła Kaśka, zrywając się z koca. Najwyraźniej nie ustaliły tego wcześniej.

Płomień dosięgnął przedramienia. Dotykał jej tylko chwilę, ale ona nie cofnęła ręki i nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Zacisnęła zęby, a z oczu pociekły jej łzy. Nie mogłam się ruszyć, a serce podeszło mi do gardła. Dlaczego Justyna to zrobiła i, co ważniejsze, czemu Julia pozwoliła na coś takiego? Kim trzeba być, jak bardzo chcieć czyjejś sympatii, żeby pozwolić sobie wyrządzić krzywdę? Pulsował we mnie strach i wstyd.

Co teraz? Mnie też zechcą poddać tej ceremonii? A jeśli tak, to co zrobię – sprzeciwię się czy dam oparzyć jak Julia?

– A teraz... – kontynuowała Justyna, jakby jej było mało tego, co robiła.

W rękę trzymała małe nożyczki, których używała na plastyce i niechętnie pożyczła, bo, jak się wyrażała, szczoteczki do zębów, chłopaka i nożyczek się nie pożyczca. Śmieszne, że sobie to przypominałam. Nadal nic nie mówiłam, sparaliżowana dziwną niemocą. Kaśka też nie, chociaż ona w przeciwieństwie do mnie odwróciła głowę, kiedy Justyna odcięła Julii kosmyk włosów. Ta ani drgnęła, przyjmując przykrości z zagadkowym uśmiechem. Już otarła łzy po bólu, jaki sprawił jej płomień świecy. Rzeczywiście, po tym obcięcie włosów to już właściwie nic takiego. Kosmyki sterczały brzydko przy jej twarzy, bo Justyna ścięła cienkie pasmo tuż przy uchu krzywo i byle jak. Zemdliło mnie ponownie, gdy poczułam rozchodzący się zapach spalenizny, kiedy wrzuciła kosmyk wprost do płomienia świecy. Po chwili oprócz swądu po włosach pozostały małe czarne kropki pływające na stearynie. Chciałam powiedzieć, że przesadziła, wierście mi, miałam taki zamiar. Przecież tak się nie robi. To jest czynna napaść. To krzywdzenie innego człowieka i wykorzystywanie sytuacji. Argumenty przelatywały mi przez głowę. Tylko, usprawiedliwiałam się przed sobą, powiem jej to, kiedy Julii z nami nie będzie. Nie mogę zrobić tego przy niej. To byłoby nielojalne. Na twarzy Kaśki widziałam te same odczucia. Też nic nie mówiła, gryzła jedynie paznokcie, choć nie miała już ani skrawka do obgryzienia, i krzywiła się od czasu do czasu do czasu z bólu.

– I na koniec... – Justyna podeszła do Julii i uderzyła ją w twarz otwartą dłonią.

Tym razem zamknęłam oczy, a Kaśka jęknęła. Z jej paznokcia kapła krew. Musiała odgryźć sobie kawałek skórki.

– Podejdźcie i zróbcie to samo – zakomenderowała Justyna, wyraźnie zadowolona z tego, że Julia nie tylko przyjmuje te tortury pogodnie, ale że my wszystkie patrzemy na nią z lękiem.

Teraz powinniśmy wreszcie powiedzieć „nie” i stąd wyjść. JA powinnam powiedzieć „nie”, zabrać Julię i wyjść, zachowując twarz. Naprawdę tak nie można postępować. To jest coś niewyobrażalnego, na co nie można się zgodzić. Nie mogłam spojrzeć w oczy żadnej z nich. Nie czułam złości, tylko żal i wstyd. Myślałam tylko o tym, jak wiele bym dała, by cofnąć czas i powiedzieć im, że dzisiaj nie mogę przyjść, mama mnie nie puści, bo muszę zrobić coś innego, cokolwiek, iść na grób babci, zrobić zakupy, ugotować zupę albo sprzątać. Czekałam, aż Kaśka oznajmi, że tego nie robi, by dodać: „Właśnie, ja też nie”. Wtedy to się skończy. Wyjdziemy stąd i pewnie nigdy nie wrócimy, na przerwach nie będziemy już rozmawiać. Między nami zawisną pretensje i niedopowiedzenia, ale zachowamy się przyzwoicie. Nigdy nie jest za późno, by się przeciwstawić.

Kaśka podeszła szybko i pacnęła ją w drugi policzek. Julia oblała się rumieńcem, potem spojrzała na mnie. Może mi się wydawało, ale w jej wzroku nie zobaczyłam pretensji, tylko zaciekawienie. Może chciała się przekonać, do czego jesteśmy zdolne. Z jej oczu wyzierało nieme pytanie: „Czy na tym skończycie? A może mnie zamordujecie i poćwiartujecie zwłoki?”

Na sztywnych nogach podeszłam i uderzyłam najlżej, jak tylko potrafiłam, właściwie dotknęłam policzka otwartą dłonią, nie patrząc jej w oczy, nienawidząc się coraz bardziej i marząc jedynie o wyjściu stąd. Przypomniałam sobie czern korytarza czekającą na mnie za drzwiami i wydała mi się ona rajem w porównaniu z tym, co działo się tutaj. Chciałam uciec, ale nie wyobrażałam sobie, jak wrócę do domu i usiądę do wypracowania. Po prostu nie wyobrażałam sobie tego.

– Teraz jesteś jedną z nas. Od jutra siedzisz z Marzeną – ponownie rozległ się głos Justyny. – Pomagamy ci w lekcjach

i takie tam. Możesz na nas liczyć we wszystkim. We wszystkim – dodała z naciskiem.

Rytuały najwyraźniej się skończyły albo zabrakło jej pomysłów na dręczenie Julii. Ta pokiwała głową. Na twarzy nie miała wypisanej ani ulgi, ani pretensji. Jakby było jej już wszystko jedno.

– Dzięki – rzuciła w moją stronę.

Nie rozumiałam, czy dziękuje mi za to, że nie uderzyłam jej mocno, czy też za to, że będę z nią dzielić ławkę. Z tym mógł być pewien kłopot. Siedziałam z Renatą od samego początku liceum i nie wiedziałam, jak poprosić, by się przesiadła, bo teraz usiądę z kimś innym. Justyna siedziała z Kaśką, a najwyższa z nas Julia sama na końcu klasy. Mogła co prawda dosiąść się do Pawła, ale z jakiegoś powodu zajęła osobną ławkę.

Renata mieszkała w sąsiedniej klatce, nasze matki chodziły razem do podstawówki i liceum, zupełnie tak jak my. Nie łączyła mnie z nią jakaś szczególna zażyłość, przyjaźń na śmierć i życie czy coś takiego, ale lubiłam ją. Była dobrą koleżanką, spokojną, wyważoną i poukładaną. Nie obgadywała nikogo dla samego obgadywania. Nie dzieliła ludzi na lepszych i gorszych. Nie kpiała z tych, którzy nie mieli pieniędzy na zakupy w butikach. Potrafiła podpowiedzieć na polskim, matmie czy biologii, bez różnicy. Ani najładniejsza, ani najmądrzejsza, ani najfajniejsza – gdzieś pośrodku, dokładnie tak jak ja, ale mimo wszystko ciut niżej ode mnie. Niżej w hierarchii, skoro ja byłam tu, a ona zapewne pochylona nad wypracowaniem albo zadaniami z matmy.

– Ewakuacja – oznajmiła Justyna wielce z siebie zadowolona. Podeszła do Julii i objęła ją ramieniem. – Naprawdę się cieszę – dodała.

– Ja też – pospieszyła Kaśka. Krwawiący palec owinęła sobie chusteczką.

– Ja bardzo – powiedziałam idiotycznie, bo z przerażeniem myślałam wyłącznie o konsekwencjach, wypracowaniu, którego

pewnie nie napiszę, oraz wzroku Renaty, kiedy oznajmię, że siedzę z Julią.

Ona milczała, ale patrzyła na nas spokojnie. W jej oczach nie widziałam pretensji. Właściwie to nic w nich nie było, prócz obojętności. Po łzach nie pozostał najmniejszy ślad. Wstała i zaczęła się ubierać, ostrożnie wkładając oparzone przedramię do rękawa kurtki.

– Ostatnia chowa klucz. Jak zwykle – rzuciła Justyna, po czym szybko wybiegła ze strychu, a ja nie zdążyłam krzyknąć za nią, żeby zostawiła mi latarkę.

Pięknie. Będzie ciemno, migotało mi w głowie, będę się bała, co ja teraz zrobię? Spojrzałam na Kaśkę. Ubierała się ze spuszczoną głową, zerkając na drzwi, jakby zastanawiała się, czy Justyna nie wróci. Zostałyśmy same z Julią. Mogłam spytać, czy nie ma pretensji albo przeprosić i wyjaśnić, że tak naprawdę ja tego nie chciałam i nie wiedziałam, że Justyna planuje takie... rzeczy. Majtek zwrócić nie mogłam, ale okazać wsparcie i poprosić o wybaczenie, owszem.

– Może pójdziemy razem? – spytała. – Mieszkam trochę dalej niż wy, ale...

Nie wiedziałam, gdzie mieszka. Nie chodziła z nami po szkole do domu, nie pamiętałam nawet, czy po wyjściu ze szkoły skręca w prawo, czy w lewo. Nic nie wiedziałam. Już chciałam z ulgą przytaknąć, tak, oczywiście, jasne! Wspólny powrót wiele mógł zmienić. Mogłyśmy pogadać jak dobre koleżanki, jak siostry.

– Spieszmy się – odpowiedziała szybko Kaśka. – Poza tym mieszkasz na innym osiedlu. Po co nadkładać drogi?

Znów się nie odezwałam. Co z tego, że mieszkała daleko od nas, może nawet po przeciwnej stronie miasta, skoro chciała iść z nami? Nadkładała drogi, ale to jej sprawa. Chciałam powiedzieć, by z nami poszła, ale stałam niczym kołek, unikając ich wzroku. Jesteś tchórzem, wyrzucałam sobie, cholernym tchórzem, Marzena. Wszystkiego się boisz, ciemności, Justyny,

tego, co inni powiedzą albo czego nie powiedzą. Zasłużyłaś na to, by ktoś zamknął cię w ciemnej piwnicy.

Po Justynie nie było śladu. Musiała już wyjść z budynku, bo nie słyszałam kroków na niższych piętrach. Kaśka zamknęła drzwi i przekręciła klucz i w tym momencie oblała mnie czernią. W jedną sekundę demony ciemności wróciły i schowały się w mojej głowie. Mokra od potu złapałam się poręczy.

– Daj mi rękę – odezwała się cicho Julia. Wydawało mi się, że ten głos jest nierzeczywisty. Dygotałam ze strachu, panika zacisnęła zimne lepkie palce na moim gardle. Jakim cudem wyczuła to Julia, skoro nie mogła mnie widzieć?

– Nie trzeba – wydusiłam z wysiłkiem. Jeszcze tylko tego brakowało, by mi pomagała, po tym, co jej zrobiłam. Chciałam ponieść karę adekwatną do winy.

– Widzę w ciemności – powiedziała lekko.

Wydawało mi się, że słyszę cichutki śmiech. Poczułam, jak jej dłoń delikatnie wsuwa się w moją i ścisła ją. Dotyk nie uspokoił mnie, raczej wywołał wyrzuty sumienia. Tą samą ręką, którą teraz ona trzymała, uderzyłam ją w twarz. Naprawdę nienawidziłam się za to, ona musiała nienawidzić mnie bardziej. Dlaczego zatem chciała mi pomóc? A może wcale nie chciała, tylko karmiła się moim strachem, czerpała radość z tego, że teraz to ja znalazłam się w sytuacji bez wyjścia.

– Jak to, widzisz w ciemności? – usłyszałam pozbawiony emocji głos Kaśki, odarty ze wszelkich wyrzutów sumienia, głos zupełnie zwyczajny, przechodzący do porządku dziennego nad tym, co stało się na strychu, jakbyśmy wraz z zamknięciem drzwi zamknęły też tamtą historię.

– Tata mówi, że mam wyjątkowe czucie wewnętrzne – powiedziała pogodnie Julia. Jej głos wręcz koił.

– Dlaczego? – zapytała Kaśka.

Odliczałam stopnie. Do parteru wciąż pozostawało pięć pięter. Każde piętro to dwadzieścia schodków w dwóch